

Ed
Ruggiero



Obrona
konieczna

Ed Ruggero

Obrona konieczna

Przekład: Maria Gębicka-Frać

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2 0 2 0

[Kup książkę](#)

Na północny wschód od Tampico, Meksyk, 19 lutego

Gorące powietrze wibrowało wzdłuż opuszczonej pochylni i wdarło się do wnętrza samolotu, gdy tylko załoga otworzyła drzwi. Jeszcze zanim ogarnął wzrokiem rozpaloną patelnię meksykańskiej równiny, zapach pustynnego pyłu i oślepiająco jasne, odbijające się od ziemi światło, przywiodły mu na myśl Arabię Saudyjską. Podniósł się ze składanego siedzenia, założył plecak i upewnił się, czy pistolet tkwi w kaburze. Odwrócił się w kierunku ogona samolotu, transportowego Herculesa C-130, czekając na sygnał szefa pokładu, sierżanta Sił Powietrznych, który pozwoli mu opuścić duszne wnętrze.

Isen był przekonany, że jest jedynym pasażerem wysiadającym na tym zagubionym lądowisku, i kiedy teraz patrzył przez prostokątny otwór tylnych drzwi samolotu na zbieleły od słońca krajobraz, zaczynał się czuć jakby miał być pozostawiony na Księżycu. Przypominał sobie słowa oficera odprawiającego go z San Antonio w ten ostatni odcinek podróży na południe. – Miejsce, do którego lecisz, nie znajduje się na końcu świata, ale na pewno będziesz mógł go stamtąd zobaczyć.

Isen podciągnął wyżej plecak i poczuł, jak bluza munduru w pustynnym kamuflażu przykleja się do spoconych ramion. Cofnął ręce tak, że łokcie oparły się mocno o aluminiowy stelaż plecaka i, w chwili gdy oficer pokładowy dał znak, zbiegł szybko po pochylni. Szef pokładu krzyknął coś, kiedy Isen przebiegał obok, ale jego słowa zagłuszył ryk pracujących silników. Zamykając oczy przed pyłem wzbijanym przez obracające się śmigła, Isen odbiegł od samolotu. Kiedy otworzył na chwilę oczy, dostrzegł oblepione pyłem wierzchołki dwóch wojskowych namiotów wystające ze znajdującej się w pobliżu rozpadliny; namiotów – tak przynajmniej mu się zdawało – z trudem opierających się naporowi pędzonego wiatrem piasku. Przed palącym słońcem nie dawało schronienia kilka karłowatych drzew rosnących wzdłuż krawędzi rozpadliny. Isen uznał, że namioty muszą stanowić punkt do-
wrodzenia tego, co w okolicach Tampico mogło uchodzić za lotnisko.

Ruszył wzdłuż rozpadliny w kierunku namiotów. W mniejszym z nich natknął się na sierżanta i szeregowego Armii, usiłujących właśnie podnieść się ze stojących na środku łóżek polowych. Obydwaj zdawali się go nie dostrzegać.

– Przepraszam, sierżancie – powiedział Isen po odczekaniu paru sekund, jakie dał żołnierzom na zauważenie jego obecności. – Jestem kapitan Isen. Wydaje mi się, że mam się tutaj z kimś spotkać.

– Tak jest – odpowiedział sierżant, nie patrząc na Isena. Sznurował powoli buty, podczas gdy Isen bezskutecznie czekał na resztę informacji. Sierżant był wysokim i chudym mężczyzną, i – na ile Isen mógł dostrzec w wycięciu jego podkoszulka – miał brzydkie czerwone krosty na szyi i ramionach. Jest zbyt delikatny do tej służby, pomyślał Isen.

– Czy słyszeliście coś na ten temat? Czy byliście uprzedzeni o moim przylocie? – ciągnął cierpliwie Isen.

– Tak jest, słyszeliśmy. – Wydawało się, że sierżant ponownie ograniczy się do zdawkowego potaknięcia. Jednak w chwili gdy Isen zdecydował się już wydusić z niego potrzebną informację, sierżant schylił się i wyjrzał przez odsłonięty otwór wejściowy namiotu.

– Wydaje mi się, że tam czeka pański transport, panie kapitanie – powiedział. Stał dalej w zgiętej pozycji, jak gdyby Isen nie był w stanie dostrzec niczego bez jego pomocy. Isen schylił się również, myśląc jak zabawnie muszą w tej chwili wyglądać dwie dziwnie wygięte sylwetki, jakby podwójny drogowskaz wystający z ciężkiego wojskowego namiotu. Isen dostrzegł dwie małe, odkryte półcieńczarówki stojące w odległości około trzystu metrów. W zasięgu wzroku nie było niczego więcej.

– Dziękuję wam za pomoc – powiedział z ironią Isen. Jednak natychmiast zbeszał się w duchu. Zawsze kiedy kierowano go do nowych jednostek, starał się postępować tolerancyjne w stosunku do osób, których jeszcze nie znał. Nigdy nie wiadomo, czy reprimendy nie otrzymał podoficer odpowiedzialny za właściwe rozpatrzenie wniosku urlopowego albo naliczenie żołdu.

Isen wysunął się z namiotu tuż za sierżantem i jego pomocnikiem, którzy wyszli, aby zająć się zaopatrzeniem przywiezionym przez samolot. Oddalając się od namiotów czuł jeszcze silny zapach nagrzanego w słońcu brezentu. Nie dostrzegł nikogo w pobliżu samochodów i zaczynał żałować, że nie zapamiętał nazwiska oficera, z którym miał się tu spotkać. Podszedł do kabiny pierwszej półciężarówki i zajrzał do środka. Nikogo. Okrążył ją, kierując się do drugiego samochodu. Kiedy był już blisko, jego uwagę zwrócił Meksykanin w cywilnym ubraniu, rozciągnięty w cieniu przy bocznej klapie półciężarówki. Isen podszedł do niego.

– Przepraszam – powiedział dostatecznie głośno, aby go obudzić. Śpiący Meksykanin nie poruszył się. Jego twarz była schowana pod słomkowym kowbojskim kapeluszem zniszczonym tak doszczętnie, że składał się niemal z samych dziur. Isen dostrzegł jednak nieznaczne ruchy kapelusza świadczące, że leżący człowiek oddycha. Nie był pewien reakcji śpiącego na próbę nagłej pobudki w środku sjesty. Musiał jednak znaleźć amerykańskiego oficera, który miał być jego kontaktem w tym nowym miejscu. Chwycił śpiącego za stopę i potrząsnął; potem próbował jeszcze raz. – Hej!

Tym razem mężczyzna poruszył się, podniósł się powoli i przesunął kapelusz do tyłu, odsłaniając twarz. Nie wysilił się jednak, żeby cokolwiek powiedzieć.

– *Americanos?* – zapytał Isen tonem mającym sprawić wrażenie pośpiechu. – *Gringos?* – Ze złością wrócił myślami do oficera personalnego, który, zmieniając wcześniejsze rozkazy, wykreślił go z listy osób przeznaczonych do szkolenia w Instytucie Języków Obcych Departamentu Obrony i skierował bezpośrednio do Meksyku.

– Tam znajdzie się sporo facetów mówiących po angielsku, a was z waszymi umiejętnościami potrzebują natychmiast – powiedział mu wtedy tamten major.

Patrząc na słomkowy kapelusz, który kierowca z powrotem zsunął na twarz, zastanawiał się teraz, gdzie podzieli się ci wszyscy dwujęzyczni Meksykanie. Rozejrzał się dookoła, mrużąc oczy w oślepiającym słonecznym blasku. Żałował, że okulary słoneczne upchnął gdzieś w plecaku, zamiast schować je do kieszeni bluzy. – Witajcie na wojnie, chłopcy – mruknął do siebie.

Trzy dni temu Mark Isen obchodził swoje trzydzieste urodziny, które spędził z żoną w ich domu w Fort Benning w stanie Georgia. Ukończył właśnie ośmioletni kurs taktyki pododdziałów bojowych, działań partyzanckich i technik szkolenia w Szkole Piechoty Armii Stanów Zjednoczonych. Teraz, jako doradca wojskowy, miał przekazywać wiedzę z tego kursu poszerzoną o doświadczenie zdobyte we wcześniejszych operacjach bojowych piechoty.

Chociaż uważał siebie za dobrze wyszkolonego oficera, Isen wiedział, że Armia klasyfikuje umiejętności żołnierzy według rodzaju naszywki umieszczonej nad lewą kieszenią bluzy munduru – w jego przypadku była to Bojowa Odznaka Piechoty. Doświadczenie bojowe kapitana obejmowało bardzo wiele zagadnień, i teraz Isen mógł nawet precyzyjnie przewidzieć, które z nich pomogą mu w planowanej operacji. Jednak jego najważniejszym, jak mu się wydawało, atutem było oswojenie się z najokropniejszą nawet śmiercią. W skrytości ducha zawsze zazdrościł tym, którzy nigdy nie brali udziału w bezpośredniej walce. Zazdrościł, że nie musieli nigdy pakować ciał młodych żołnierzy w brezentowe worki – młodych żołnierzy, którzy żyli jeszcze kilka godzin temu; żołnierzy, którymi dowodził i za życie których czuł się odpowiedzialny przed szeregiem bezimiennych matek i narzeczonych, żon i ojców, jeszcze małych dzieci...

Isen przyjrzał się jeszcze raz słomkowemu kapeluszowi Meksykanina i doszedł do wniosku, że zasłużył na odrobinę życzliwsze powitanie.

Jednak w momencie, kiedy zdecydował się ponownie obudzić śpiącego, mężczyzna podniósł się leniwie i usiadł. – Jedziemy, kapitanie? – zapytał.

– Jesteście moim kierowcą?

– Kapitan Isen, czy tak? – powiedział Meksykanin, wskazując na pierś Isena.

Isen skinął głową. Kierowca wskazał na odkrytą skrzynię półciężarówki. Isen wrzucił plecak na tył samochodu i otworzył drzwi kabiny od strony pasażera. W środku nie było siedzeń. Meksykanin wciągnął do kabiny drewnianą skrzynkę, ustawił ją na metalowej podłodze tuż za kolumną kierownicy, usiadł na niej i dopasował pozycję tak, aby sięgać do pedałów. Spojrzał na Isena i wskazał na gołą podłogę. Kapitan przesunął swój plecak ze skrzyni do kabiny, ułożył go na podłodze i usadowił się na nim. Oparł się o zardzewiałe drzwi dla utrzymania równowagi, gdy tylko zaczęli się toczyć po pokrytym koleinami trakcie. Właśnie zaczął się zastanawiać, czy nie zapytać kierowcy, dokąd jadą, kiedy Meksykanin spojrzał na niego i uśmiechnął się szeroko.

– *Bienvenido a Mexico* – powiedział.

Witamy w Meksyku.

Ujechali niewiele więcej niż kilometr, kiedy Isen zobaczył coś, co wyglądało na pojazd Armii Stanów Zjednoczonych zbliżający się z przeciwnego kierunku. Wydawało mu się, że rozpoznaje kancistą sylwetkę wojskowego dżipa ciągnącego za sobą postrzępioną chmurę pyłu. Chociaż ten model dżipa został zastąpiony w Armii przez Hummera, ciągle jeszcze był używany przez Gwardię Narodową i jednostki rezerwowe. Wiele takich samochodów wysłano do Meksyku dla celów obecnej operacji. Dżip wydawał się jechać bardzo szybko, jednak kiedy się zbliżyli, Isen zrozumiał, że wrażenie szybkości wynikało ze sposobu poruszania się pojazdu: rzucił się jak szalony po wyboistej drodze. Meksykański kierowca zahamował, a Isen wyskoczył, żeby zatrzymać zbliżający się samochód.

Dżip zatrzymał się tak raptownie, że ciągnąca się za nim chmura pyłu otoczyła Isena, za nim zdołał się przyjrzeć dwóm mężczyznom siedzącym pod brezentowym dachem samochodu.

– Szybko! Zbieraj manele i wskakuj! – dobiegł go głos z wnętrza kłębiącej się chmury pyłu.

Isen wrócił do półciężarówki i wyłowił swój plecak. Kiedy się odwrócił, dostrzegł, że mężczyzna, który się do niego zwracał, wysiadł w międzyczasie z dżipa i pochylił przednie siedzenie tak, aby Isen mógł wdrapać się na tył pojazdu.

– Ty jesteś Isen, zgadza się? – zapytał.

– Tak, Mark Isen.

W miarę jak pył opadał i właściciel głosu materializował się, Isen zaczął wątpić, czy to rzeczywiście miał być jego komitet powitalny. Facet wyrażał się jak amerykański wojskowy, lecz miał co najmniej kilkudniowy zarost i jasną pręgę wzdłuż oczu od noszenia okularów chroniących twarz od słońca i pyłu. Możliwe, że jego ubranie było kiedyś mundurem wojskowym, jednak teraz przybrało jasnobrazowy, wyblakły od słońca kolor, niemal identyczny z otaczającym ich krajobrazem. Nie posiadał regulaminowego pasa z ładownicami, szelek ani kabury – takich jakie nosił Isen. Zamiast tego miał zawieszony nisko na biodrach szeroki skórzany pas z czymś, co Isen zidentyfikował jako nóż myśliwski zwisający w pochwie po lewej stronie. Po prawej stronie miał przytroczoną standardową kaburę dziewięciomilimetrowego pistoletu, jakiego używa Armia Stanów Zjednoczonych. Głowę osłaniał mu kapelusz o szerokim rondzie z ciemną obwódką potu w miejscu, gdzie tkanina dotykała skóry.

– Major Dave Gaspar – rzucił, nie wyciągając ręki. – Nie mamy czasu na gadanie, więc wskakuj do środka.

Isen wsiadł i w tej samej chwili pojazd zarzucił w ostrym skřęcie, jeszcze zanim Gaspar usadowił się na przednim siedzeniu. Wszystko dzieje się zbyt szybko, pomyślał Mark. Do diabła, nie wiem nawet, gdzie jestem. W ciągu pierwszych kilku sekund jazdy Isen zdążył już dwa razy uderzyć głową w metalowy pałak napinający płócienny dach dżipa. Gaspar odwrócił się do niego, próbując przekrzyć ryk samochodu walczącego z pokarbowaną jak tarka drogą.

– Ten facet miał dostarczyć cię do mnie, jednak w międzyczasie zmieniliśmy plany i nie mogliśmy czekać! – wykrzyknął Gaspar. Wskazał na pistolet przytroczonego do boku Isena. – Czy ta rzecz jest nabita? – zapytał.

– Nie.

Gaspar bez słowa podał mu dwa pudełka amunicji, po czym odwrócił się i powiedział coś po hiszpańsku do meksykańskiego kierowcy. Isen czekał przez chwilę, trzymając w rękach kartonowe pudełka, aż uzmysłowił sobie, że Gaspar nie zamierza z nim więcej rozmawiać.

– Cholera – wyrwało mu się, kiedy próbował utrzymać magazynki do pistoletu, rozsypujące się naboje i otwarte pudełko z amunicją na podrzucanym na wybojach i zasypanym pyłem tylnym siedzeniu dżipa.

Po godzinie uciążliwej jazdy samochód zjechał z ledwie widocznego traktu między rzadko rosnące karłowate drzewa. Isenowi wydawało się, że bezdroże, po którym teraz jechali, nie może być bardziej wyboiste od poprzedniej drogi, jednak kierowca wyraźnie zwolnił. Młody żołnierz siedzący za kierownicą wychylił się jak najdalej do przodu, wypatrując przejazdu wśród nierówności terenu. Hałas wydawany przez dżipa przycichł nieco.

– Dokąd jedziemy? – próbował zagadnąć Gaspara Isen.

– Oddział, do którego dołączysz, będzie miał małą przeprowadzkę dzisiejszej nocy – powiedział Gaspar. – Około pięćdziesiąt do sześćdziesięciu kilometrów od miejsca, gdzie wyładowałeś. – Odwrócił się do Isena i oparł rękę na tylnym siedzeniu. – Najlepiej nauczyć się pływać skacząc do głębokiej wody, nie?

Isen zauważył, że Gaspar bada wzrokiem jego mundur, oceniając wszystkie te naszywki i odznaczenia, w których Armia lubowała się od zawsze, i dla których zawsze znajdowała miejsce, nawet na polowej bluzie.

Z wyjątkiem Bojowej Odznaki Piechoty, odcinającej się na jego mundurze, Isen, przynajmniej na początku, nie wyróżniał się niczym specjalnym spośród innych uczestników kursu w Fort Benning. Pamiętał jak kiedyś jego matka mówiła o nim jako o „niepozornym chłopaku”. Miał tylko niewiele ponad metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, pospolitą karnację i figurę, i nie posiadał jakichkolwiek wyróżniających go cech, może z wyjątkiem oczu. Jego żona, która – jak sam przyznawał – wyrażała się z większą ekspresją, powiedziała mu kiedyś, że ma oczy proroka: szare, lecz zadziwiająco wyraziste i piękne w swojej intensywności.

Chociaż w pewnym sensie był typem mola książkowego, nie wykazał się specjalnymi zdolnościami językowymi w trakcie kursu w Benning. Wyprowadził nawet z równowagi wojskowych lektorów, którzy w tym krótkim czasie próbowali przepuścić szkolonych oficerów przez intensywny kurs podstaw języka hiszpańskiego. Wyniki jego wstępnego testu klasyfikacyjnego, jaki odbył się w drugim dniu szkolenia, mieściły się w dolnym przedziale wyników grupy. Przez pierwszy tydzień zajęć nie wyróżniał się niczym, starając się sprostać wymaganiom kursu. Zaczął się wybijać dopiero, gdy zajęcia skoncentrowały się na zagadnieniach taktyki. Mark Isen był urodzonym żołnierzem; podświadomie wyczuwał rzeczy, których inni musieli się uczyć mozolną metodą prób i błędów.

Teraz siedział na tylnym siedzeniu, zapierając się o boczne ścianki dżipa i zastanawiał się, czy przypadkiem Gaspar nie zaaranżował całej sytuacji, żeby go przetestować. Bywał już w jednostkach gdzie starzy żołnierze z zasady urządzali różne kawały nowo przybyłym, aby sprawdzić, czy i jak łatwo można ich przestraszyć. Isen pamiętał, że jako porucznik sam

uczestniczył w takich żartach. Musiał jednak przyznać, że jeśli ten patrol bojowy miał być rodzajem sprawdzianu, został zrobiony z odrobinę za dużym rozmachem.

– Jest jakaś szansa, żebyśmy mogli rzucić okiem na mapę okolicy? – zapytał Isen, starając się nie okazywać swoich podejrzeń.

W gęstniejącym mroku bardzo trudno było ocenić reakcję Gaspara. – Zobaczę, czy uda mi się ją znaleźć – odpowiedział w końcu.

Zatrzymali pojazd w czymś w rodzaju zagajnika, gdzie drzewa rosły w regularnie rozmieszczonych rzędach, oddalonych od siebie o około trzy metry. Kierowca wprowadził dżipa pod zwieszające się gałęzie.

Isen wysiadł i przeciągnął się, rozprostowując zdrtwiałe nogi i plecy. Rzadko kiedy dokuczała mu choroba lokomocyjna, jednak teraz dziękował Bogu, że nie zjadł ostatniego posiłku serwowanego na pokładzie samolotu. Pociągnął spory łyk z manierki, patrząc jak Gaspar zagłębia się w rosnące opodal zarośla. Po kilku minutach Amerykanin powrócił wraz z meksykańskim oficerem. Gaspar powiedział do niego coś po hiszpańsku, po czym zwrócił się do Isena.

– To jest major Pablo Alazar – powiedział. – Jest dowódcą tego oddziału. Mówi, że możesz iść z nami dzisiaj nocy.

Nawet poprzez grubą warstwę pyłu było widać, że mundur Alazara jest w znacznie lepszym stanie niż ubranie, które nosił Gaspar. Meksykanin miał duży brzuch, wypychający bluzę nad wojskowym pasem. Do pasa miał przypiętą kaburę z małym rewolwerem, najprawdopodobniej kalibru 0,38 cala.

Trzej mężczyźni stali przez chwilę w kępującym milczeniu. Alazar wydawał się wyrażanie na coś czekać, dlatego – pomimo że znajdowali się w warunkach polowych – Isen zaślutował. Alazar wyciągnął rękę i Isen podszedł, żeby ją uściśnąć. Uścisk Alazara był energiczny, jednak jego miękka dłoń świadczyła, że lepiej się czuje za biurkiem. Nikt się nie odezwał, kiedy Meksykanin odwrócił się i odszedł, wtapiając się w długie cienie drzew.

Isen nie spodziewał się, że będzie tu witany jak zbawca, jednak był niemile zdziwiony czując się jak zupełny intruz. Był jednym z ciągle rosnącej liczby amerykańskich oficerów piechoty, których przydzielano jako doradców wojskowych do armii meksykańskiej w ramach operacji Wartownik. Po długich latach bezskutecznych wysiłków zmierzających do uszczelnienia granicy amerykańsko-meksykańskiej przed przemytem narkotyków, rząd Stanów Zjednoczonych doszedł do wniosku, że najwłaściwszym sposobem rozwiązania problemu będzie ścisła współpraca z rządem meksykańskim. Jedynym z celów operacji, jak przedstawiali to planiści z Waszyngtonu, było szkolenie wybranych jednostek policji i armii meksykańskiej, aby mogły one skuteczniej włączyć się do walki ze wzrastającą potęgą gangów narkotykowych, traktujących Meksyk jako wyśmienity teren przerzutowy. W wielu niezamieszkałych i trudno dostępnych rejonach tego kraju przemytnicy urządzili zamaskowane lądowiska, z których dokonywali zrzutów towaru przeznaczonego do dalszego transportu do USA lub gdzie tankowali paliwo do samolotów o zasięgu wystarczającym do przerzutu narkotyków ponad dobrze strzeżonym obszarem przygranicznym Stanów Zjednoczonych. W zamian za udział Meksyku w programie antynarkotykowym, Stany Zjednoczone planowały utworzenie wielu ambitnych projektów gospodarczych, które dawałyby możliwość szerszej współpracy obydwu krajów. Również Kongres Stanów Zjednoczonych, odnoszący się zazwyczaj z rezerwą do takich propozycji, zgodził się na złagodzenie polityki imigracyjnej tak, aby robotnicy meksykańscy mieli łatwiejszy dostęp do amerykańskiego rynku pracy. To właśnie ta konkretna pomoc gospodarcza ostatecznie przezwyciężyła meksykańskie obawy przed mieszaniem się USA w wewnętrzne sprawy kraju.

Prezydent Meksyku i jego partia akceptowali stawiane warunki – pomoc gospodarcza gwarantowała utrzymanie politycznego status quo. Jednak armia meksykańska czuła się urażona bezceremonialnie wypowiadanymi stwierdzeniami, że nie jest w stanie samo-

dzielnie podolać obecnej sytuacji. Różne federalne, stanowe i lokalne jednostki policji w Meksyku, które – utrzymywane z budżetu – zawsze ubiegały się o te same fundusze rządowe, nie były szczęśliwe widząc sukcesy potencjalnych rywali w walce o pieniądze. Współpraca pomiędzy tymi jednostkami, rzadka nawet w najlepszych czasach, zmarła całkowicie z chwilą pojawienia się Amerykanów.

Gaspar splunął w zamyśleniu. – Rusz się, spróbujemy przyjrzeć się z bliska tej zabawie.

Dwaj Amerykanie podeszli do brzegu zagajnika. Isen zobaczył, że drzewa rosły tu wzdłuż krawędzi obniżenia, które mogłoby uchodzić za koryto potoku, gdyby środkiem płynęła woda. Gdzieś w dole usłyszał głosy kilku mężczyzn. Nie rozmawiali głośno, ale dźwięk swobodnie docierał do miejsca, w którym stał Isen.

– Powiedz mi coś o naszym zadaniu – odezwał się Isen do Gaspara.

– Ruszymy z tego miejsca. To tylko kilka kilometrów. W małej dolince na wschód od miejsca, w którym jesteśmy, znajduje się niewielkie lądowisko. Przemysłowcy używają go od kilku tygodni. Przylatują, zostają tam krótko i odlatują, zanim zdążymy ich dopaść. Jak dotąd używali tego lądowiska wyłącznie do uzupełniania paliwa, dlatego nie spodziewamy się znaleźć wiele, najwyżej kilka ciężarówek. Z tego miejsca odlatują w kierunku zachodnim, docierają nad ocean i kierują się na północ nad nasze Zachodnie Wybrzeże. Zawsze lecą dość daleko nad oceanem, zanim dotrą na wysokość północnej Kalifornii, czasem nawet Oregonu. – Gaspar ściszył głos i obaj z Isenem zwolnili kroku, gdy tylko zbliżyli się do grupy meksykańskich żołnierzy. – Przerzuty narkotyków w tym rejonie nie muszą odbywać się drogą lądową. Ci faceci mają kilka niezłych samolotów o dużym zasięgu.

Isen i Gaspar zatrzymali się przy grupce żołnierzy. Niektórzy z nich spali. Isen poprawił w duchu swoje wcześniejsze obliczenia – w zagajniku znajdowało się co najmniej dwudziestu ludzi. Wszyscy czekali na zapadnięcie zmroku. Gaspar usiadł pod drzewem tak, aby pień oddzielał go od Meksykanów.

– Mogę w miarę dokładnie przewidzieć, jak będzie wyglądać ta akcja. Ci chłopcy podkradną się do lądowiska i ukryją w zaroślach. Będą czekali, żeby przechwycić jeden z lądujących samolotów. Ale szybko stracą cierpliwość, zaczną strzelać na oślep i skończą na rozwaleniu jednej czy dwóch ciężarówek.

Isen usiadł na ziemi obok Gaspara, który dokończył ściszym głosem: – To będzie największe szambo, jakie kiedykolwiek widziałeś.

– Nie jestem pewien. Widziałem już kilka całkiem niezłych zabaw tego typu – odparł Isen. – Nie miałeś czasu, żeby nauczyć ich podstaw patrolowania czy organizowania zasadzek? – zapytał.

Major parsknął ze zniecierpliwieniem. – Wylądowałem tutaj dokładnie pięć miesięcy i dwadzieścia trzy dni temu, razem z pierwszym rzutem naszych oficerów, i – tak jak ty teraz – od razu zostałem skierowany w teren. Kiedy tylko przez kilka dni nie ma gotowości bojowej, ci wszyscy chłopcy czmychają do domu.

Isen miał już coś powiedzieć, jednak spostrzegł, że Gaspar jeszcze nie skończył.

– Zabrało mi trochę czasu, żeby pojąć, co tu naprawdę jest grane. Widzisz, armia meksykańska nie jest zainteresowana powodzeniem tej operacji. Nie chcą, żebyśmy kręcili się dookoła i ciągle mówili im, co mają robić. Rozumiesz?

– Jak do tej pory nadażam – powiedział Isen.

– Jednak politycy, którzy pragną zgarnąć jak najwięcej korzyści z amerykańskiej współpracy, przyciskają armię jak tylko mogą. W drodze rewanżu generałowie przydzielają nam grupy zupełnie świeżych rekrutów. Rozumują, i jak dotąd mają całkowitą rację, że nie będziemy w stanie zrobić niczego sensownego z takimi ludźmi. Operacja Wartownik jest skazana na niepowodzenie.

– Ci chłopcy to rekruci? – zapytał Isen.

– Służba wojskowa jest tutaj obowiązkowa. Kiedy chłopcy zaczynają osiemnaście lat, muszą odbyć szkolenie wojskowe. Zazwyczaj odbywa się ono w weekendy w miejscu niezbyt oddalonym od ich domów. Ci faceci tutaj nie mieli aż tyle szczęścia. Zostali zmobilizowani w celu przeszkolenia wojskowego i przysłani do nas. Nie mieli do tej pory zielonego pojęcia o wojsku.

– Co z podoficerami i oficerami? – zapytał Isen.

– Większość z nich została karnie przeniesiona z innych jednostek. To dopełnia obrazu sytuacji. Jednak czasami mamy ochotników, jak na przykład zastępca dowódcy tego oddziału.

Kilka metrów obok jakiś śpiący żołnierz zaczął głośno chrapać.

– To, co tu mamy to nie tylko wielkie marnotrawienie czasu, ale i zarazem niebezpieczna zabawa – powiedział Gaspar. – Cały czas czuвам, żeby te sukinsyny nie wzięły ciężarów-ki i nie zwały do domu, zostawiając mnie samego na pustyni.

Major podniósł się na nogi. – Wygląda na to, że się zaczyna. – Założył niewielki plecak i zwrócił się do Isena. – Przykro mi, że musisz taszczyć ten wielki plecak. Ale jeśli go zostawisz, nie będą chcieli tu wrócić, choćby tylko dlatego, żeby ci zrobić na złość.

Isen podniósł swój plecak, trzymając za ramę stelaża, włożył jedną rękę pod pas barkowy, obrócił go i wcisnął drugą rękę tak, jakby zakładał ciężki i niezbyt dopasowany płaszcz. – Kiedy się trochę ochłodzi? – zapytał, pamiętając, jak raptownie temperatura może spadać na pustyni po zapadnięciu zmroku.

– Niebawem zrobi się zimno – powiedział Gaspar. – Ci chłopcy zawiną się w koce i swoje *ponchos*, i będą spali tak grzecznie, jak skauci pod namiotem.

Ściemniło się już znacznie, chociaż niebo na zachodzie było wciąż jeszcze rozpalone – jasna luna ginąca w ciemności nad ich głowami. Isen mógł dostrzec księżyc w kwadrze wędrujący nisko po wschodniej stronie nieba.

Ponieważ Gaspar nie odezwał się więcej, Isen wstał i podążył jego śladem. Gdy tylko wyszli na odkrytą przestrzeń, Isen zwiększył odstęp jaki dzielił go od Gaspara tak, że siedział teraz około piętnastu metrów z nim i trochę z prawej strony. Odczuwał instynktowną niechęć do zbytowego ścieśniania żołnierzy w trakcie działań operacyjnych. Zawsze starał się wyłożyć swoim ludziom, że żołnierze w czasie akcji powinni zachowywać się jak bieguny magnesu o tym samym ładunku – bez możliwości zbliżenia się jeden do drugiego. Stare, wyświechtane powiedzonko z filmów z Johnem Waynem – „Uważajcie, żeby jedna laska dynamitu nie załatwiła nas wszystkich” – nie straciło nic na swojej aktualności. Jednak, jak Isen mógł zauważyć, Meksykanie posuwali się gęsiego, tworząc zwarty rząd. Szli jeden za drugim ze spuszczonymi głowami.

Krajobraz dookoła wypełniały wąskie, wydłużone dolinki, porozdzielane przez pozbawione roślinności grzbiety. Ich patrol poruszał się jedną z dolinek, kierując się na północ. Maszerujący oddział wzniewał chmurę pyłu, który szczególnie dawał się we znaki żołnierzom idącym w tyle kolumny. Starając się powstrzymać od kichania, Isen wydobył z kieszeni spodni dużą zieloną chustkę, zmoczył ją wodą z manierki, i zawiązał dookoła twarzy tak, jak robili to kowboje na westernach. Rozwiązanie nie było specjalnie wygodne, ale znacznie zmniejszyło ilość wdychanego przez niego pyłu.

Obserwował ukształtowanie terenu, starając się ocenić szerokość będących w zasięgu wzroku dolinek, i rozważając teoretyczne scenariusze wciągnięcia patrolu w zasadzkę. Wiedział, że przeciwnik, z którym mieli walczyć, nie prowadzi działań ofensywnych. Jednak można było przyjąć za pewnik, że jeśli ktokolwiek lustrował okolicę, mógł łatwo usłyszeć ich oddział z całkiem pokaźnej odległości. Isen był zdumiony, słysząc wyraźnie dochodzące z ciemności rozmowy żołnierzy idących na czele kolumny, a jeszcze bardziej tym, że oficerowie czy podoficerowie nie próbowali uciszyć swoich podkomendnych. Zde-

cydował się jednak nie pytać Gaspara. Być może był to tutaj normalny sposób marszu w warunkach operacyjnych.

Po jakiejś godzinie uwagę Isena zwróciło nieznaczne poruszenie na czele kolumny. Po chwili oddział zatrzymał się. Isen dopiero teraz dostrzegł, że znajdowali się na słabo widocznym trakcie, który ciągnął się z południa na północ dnem dolinki. Mark zszedł z traktu w kierunku stoku dolinki i zatrzymał się w osłoniętej, bocznej rozpadlinie. Gaspar nie próbował nawet przejść do czoła kolumny, żeby zorientować się w sytuacji. Zamiast tego rozejrzał się dookoła, zauważył Isena i dołączył do niego, kryjąc się w rozpadlinie.

– Przypuszczam, że jesteś blisko celu – powiedział, gdy tylko usiadł na ziemi i wyciągnął swoją manierkę.

– Masz mapę? – zapytał go Isen.

– Nie.

Isen miał ochotę zapytać, jakim sposobem Gaspar – w końcu doradca wojskowy tego oddziału – może komukolwiek sensownie doradzać, trzymając się końca kolumny marszowej i bez mapy terenu operacji. Ugryzł się jednak w język.

– Nie masz nic przeciwko, żebym tam podszedł i zobaczył, co się dzieje? – zapytał Isen. Chociaż major nie wydawał się interesować umacnianiem swojej pozycji wśród Meksykanów, działał tu ciągle jako oficjalny doradca, podczas gdy Isen był zupełnie nowy.

Gaspar westchnął. – Dobra, idź. – Wyciągnął rękę w kierunku czoła kolumny. – Nie krępuj się.

Isen przeszedł wzdłuż szeregu żołnierzy, z których większość po prostu klapnęła w miejscu, gdzie się zatrzymali. Nie próbowali nawet wystawić warty.

Kiedy dotarł do czoła kolumny, zobaczył meksykańskiego majora w towarzystwie innego oficera, przykucniętych nad rozłożoną na ziemi mapą. Wpatrywali się w nią w świetle butanowej lampy, którą trzymał w ręku Alazar. Isen przyklęknął obok nich. Zignorowali jego obecność i kontynuowali chaotyczną dyskusję po hiszpańsku. Po pewnym czasie, kiedy wydawało się, że doszli do jakiegoś porozumienia, Alazar wskazał Isena ruchem głowy i powiedział coś do swego rozmówcy.

– Jestem porucznik Cortiz – powiedział drugi Meksykanin po angielsku. Głos sugerował, że jest młodym człowiekiem, jednak trudno było mieć pewność w panującym dookoła mroku. – Major chce, żeby trzymał się pan blisko mnie. – Nie czekał na odpowiedź Isena. Podniósł się szybko i ruszył do tyłu wzdłuż szeregu żołnierzy.

Isen podążył za nim. Po drodze zauważył, że porucznik zamieniał po kilka słów z niektórymi żołnierzami w kolumnie. Uzmysłował sobie, że Cortiz, który musiał być zastępcą dowódcy oddziału, prawdopodobnie rozmawia z dowódcami poszczególnych drużyn. Mówił cichym głosem, za każdym razem przysuwając się blisko do żołnierza i upewniając się, czy jego instrukcje zostały prawidłowo zrozumiane. Sposób, w jaki Cortiz się poruszał, świadczył, że musi być zawodowym żołnierzem, przyzwyczajonym do działania w warunkach całkowitej ciemności. W porównaniu z nim, inni żołnierze w kolumnie poruszali się wyjątkowo niezdarne.

Kolumna ruszyła, zanim Isen i Cortiz dotarli do jej końca. Żołnierze przestali rozmawiać, a ci, którzy mieli broń przewieszoną przez plecy, przesunęli ją do przodu. Głowy mieli teraz podniesione, a wzrok przestał błądzić po ziemi. Nie zmienili jednak sposobu poruszania się. Zachowywali się co prawda cicho, ale i tak przypominali grupę sąsiadów szukających zgubionego na spacerze psa. Isen zastanawiał się, jak blisko znajdują się teraz od miejsca ich obecnego zadania.

Po krótkiej chwili marszu wspięli się na niewielki pagórek i weszli pomiędzy rzadko rosnące drzewa. Kolumna zatrzymała się, potem ruszyła, i znów się zatrzymała. Isen dosłyszał głosy dochodzące od czoła, niektóre rozdrażnione i głośne. Domyślił się, że dotarli do celu i dowódca drużyn przegrupowują żołnierzy.

W dole przed nimi otwierała się mała dolinka, przylegająca od wschodu do grzbietu, na którym się teraz znajdowali. Poświęta księżyc wypełniała dolinę i rozjaśniała jej płaskie dno, odcinające się od ciemniejszych, porośniętych trawą zboczy. To musi być lądowisko, pomyślał Isen. Po drugiej stronie wąskiego i jasnego pasa Isen dostrzegł niewyraźne zarysy co najmniej trzech ciężarówek zaparkowanych na granicy ciemnego, pokrytego drzewami terenu. W ciągu kilku minut ludzie Alazara rozciągnęli się wzdłuż krawędzi odsłoniętej przestrzeni. Cały oddział zamarł w bezruchu. Isen wyciągnął się tuż obok porucznika Cortiza, który, oparty na łokciach, uważnie lustrował przeciwną stronę kotliny.

Isen poczuł znajomy ucisk w dolnej części brzucha, przypominający o młodości zeszytowanie, które koncentrowało się tuż powyżej krocza i zwiastowało nadciągający strach. Przechodził już przez to wcześniej, czasami było znacznie gorzej. Jednak wtedy zawsze dowodził oddziałem, co pozostawiało mu niewiele czasu na śledzenie reakcji własnego ciała na zagrożenie. W czasie tamtych akcji zawsze znał otaczających go ludzi, był częścią świetnie zorganizowanej grupy. Tym razem sygnał ostrzegawczy, jaki wysyłał jego organizm, wydawał się mieć inne podłoże – przerażające poczucie nieznaności tego, co dzieło się dookoła. Nie miał pojęcia, ilu przeciwników znajdowało się po drugiej stronie lądowiska, nie miał pojęcia, co zamierza Alazar, ani nawet czy dojdzie do strzelaniny.

Zaczął wodzić wzrokiem po drugiej stronie lądowiska, gdzie były zaparkowane ciężarówki. Wiedział, że najgorszym sposobem rozpoznania obiektu jest jego statyczna obserwacja. Wielokrotnie przesunął spojrzenie, a jego umysł rejestrował i porównywał poszczególne obrazy terenu, starając się wykryć najmniejsze oznaki ruchu. Słyszał regularny oddech Cortiza, który znajdował się tuż obok niego. Nagle usłyszał całkiem inny dźwięk dochodzący z szeregu po jego lewej stronie. To było chrapanie jakiegoś żołnierza.

Cortiz odwrócił głowę i szybko rzucił parę słów po hiszpańsku. Kilka metrów dalej rozległ się przytłumiony odgłos szarpania, zakończony głośnym ziewnięciem budzonego żołnierza.

Isen zastanawiał się, gdzie podział się Gaspar. Zastanawiał się też, czy lądowisko było wcześniej inwigilowane przez ludzi Alazara, czy też po prostu dotarli tutaj bez rozpoznania. Odwrócił się na plecy i wbił wzrok w ciemność okrywającą zalesiony teren, którym niedawno podkradali się do lądowiska. Odwrócił się z powrotem i dotknął ramienia Cortiza.

– Czy nasz oddział jest w jakikolwiek sposób zabezpieczony od tyłu?

– Co? – rzucił Cortiz, jak gdyby zaskoczony faktem, że Isen w ogóle mówi.

– Czy zostawiliście jakieś posterunki za nami, żeby faceci, których szukamy, nie zaszli nas od tyłu i nie zrobili nam przykrych niespodzianki?

Cortiz nie odpowiedział. Odwrócił głowę i wpatrzył się w teren za nimi, jakby Isen był pierwszym człowiekiem zwracającym mu uwagę, że strona, z której przyszli, może również przedstawiać zagrożenie.

– Major Alazar mówi, że wróg nie przemieszcza się po zapadnięciu zmroku – powiedział w końcu Cortiz, jednak Isen wyraźnie wyczuł brak przekonania w jego głosie. Porucznik patrzył na niego, wyraźnie czekając na potwierdzenie, ale Isen postanowił się nie odzywać. Jego milczenie było dostateczną krytyką.

– Niech pan poczeka tutaj – powiedział Cortiz do Isena. Odczołgał się w lewo, w stronę, gdzie rozmieszczona była większa część ludzi z ich patrolu, do tej chwili – Isen był prawie pewien – pogrążonych już w mocnym śnie.

Cortiz wrócił po kilku minutach. – Powiedziałem majorowi, że powinniśmy wystawić straż tylną, tak na wszelki wypadek – powiedział. Isen zastanawiał się, czy Cortiz dodał również, że sugestia wyszła od jednego z Amerykanów.

Kilka minut później jeden z meksykańskich podoficerów zaczął przemieszczać się wzdłuż ich rozciągniętej pozycji. W przeciwieństwie do porucznika Cortiza, sierżant siedł

wyprostowany i mówił coś normalnym, nie ściszone głoŝem. Cortiz podniósł się na kolana, ŝeby go uciszyć, jednak nie zdążył otworzyć ust, kiedy wszystko się zaczęło.

Ciemność dookoła została nagle rozerwana błyskami wystrzałów z broni maszynowej – wystrzałów dochodzących spomiędzy drzew za ich plecami. Słyszając krzyki trafionych ŝołnierzy Isen rzucił się do przodu i błyskawicznie odwrócił się w kierunku ataku. Leżał teraz tyłem do lądowiska i starał się zbadać wzrokiem sytuację. Bez wątpienia strzelano z zaroŝniętego terenu, którym wcześniej podeszli do zajmowanej pozycji. Przesunął plecak przed głowę, starając się skulić za tą wątpliwą osłoną. Wyciągnął pistolet z kabury, ŝalując, ŝe nie ma przy sobie długiej broni.

Trudno było w to uwierzyć, ale Cortiz podniósł się z ziemi i ruszył pędem wzdłuż rozciągniętego szeregu ŝołnierzy. Strzelał przed siebie i wrzeszczał na swoich ludzi, ŝeby odpowiedzieli ogniem. Upłynęło kilkanaście sekund, zanim w ich szeregu rozległy się pierwsze wystrzały. Isen mógł dostrzec błyski broni maszynowej, nie dalej jak dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie leżał. To stamtąd musieli ich zaskoczyć. Nie wydawało się jednak, ŝeby potrafili dokładnie rozpoznać cel. Najprawdopodobniej strzelali na oślep w kierunku odgłosów, które musiały dochodzić z ich pozycji. Isen podniósł pistolet, opierając wyciągniętą rękę o leżący przed nim plecak. Zanim jednak zdążył pociągnąć za spust, dwóch ŝołnierzy leżących obok niego poderwało się z ziemi i przebiegło przed nim, uciekając z pola rażenia. Isen w dalszym ciągu słyszał podniesiony głoś Cortiza.

Strzelanina ustała równie niespodziewanie, jak się zaczęła.

Isen przeczołgał się w kierunku pasa startowego i odwrócił się, szukając wzrokiem cięŝarówek po drugiej stronie. Zauważył, ŝe pierwsza z nich wysunęła się już z ciemnego rzędu zaparkowanych pojazdów i ustawiła równolegle do pasa startowego.

– Cięŝarówki uciekają! – zawołał.

Nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi. Ranni ŝołnierze głośno wzywali pomocy, inni również wrzeszczeli – z nie znanych mu przyczyn. Nikt nie strzelał do uciekających pojazdów. Isen nie był pewien, co powinien zrobić w tej sytuacji. Instykt zawodowego oficera ciągnął go do przejęcia dowództwa w obliczu wymykającej się spod kontroli sytuacji, jednak powtórzył sobie w duchu, ŝe jest tu doradcą wojskowym i może działać tylko poprzez formalnych dowódców oddziału. W czasie gdy się nad tym zastanawiał, cięŝarówki zdążyły odjechać i zniknąć w ciemności.

Wszystkie te wydarzenia trwały nie więcej niż dwie minuty. Teraz kilka podręcznych laterek zapaliło się wzdłuż ich pozycji. Meksykanie sprawdzali własne straty i starali się upewnić, czy w zasadzce nie pozostał nikt z wrogów.

Isen obserwował przez chwilę przemieszczające się w ciemności snopy światła, aŝ nagle usłyszał głoś Gaspara. Podniósł się i podszedł do niego.

– Mają dwóch zabitych i czterech rannych – powiedział Gaspar, jak tylko zauważył zbliŝającego się Isena.

– Nie mieli żadnego zabezpieczenia tyłów, prawda?

– Nie. Nigdy tego nie robią. Uważają, ŝe podkradanie się i podstępna walka od tyłu nie jest godna prawdziwego męŝczyzny. – Major splunął, po czym przeciągnął krawędzią buta po ziemi. – Albo nie chcą się w ogóle bić, albo, jeśli już do czegoś dojdzie, muszą stanąć twarzą w twarz z przeciwnikiem zanim sięgną po broń, bez względu na to, kto nim będzie.

– Widziałeś wcześniej, ŝe nie wystawili posterunków dookoła pozycji? – zapytał Isen.

– Tak, widziałem.

– Dlaczego im nie powiedziałeś, ŝe jest to niezbędne? – Isen czuł narastający gniew. Gdzieś z boku słyhać było jęki rannego ŝołnierza, którego koledzy próbowali przewrócić na plecy.

– Zrozum, Isen, oni nie słuchają. Nie słuchają mnie, nie będą słuchać ciebie. Cokolwiek będziesz próbował tu zrobić, będzie jak szczanie pod wiatr. Dlatego najlepsze, co możesz zrobić, to trzymać się z tyłu i nie dać się zabić.

– Właśnie o mało mnie nie zabili, ty kutasie – odpowiedział Isen, starając się nie podnosić głosu.

Gaspar nie odpowiedział, więc Isen zadał narzucające się w tej sytuacji pytanie.

– A gdzie ty byłeś?

– Poza obszarem bezpośredniego rażenia. I ty byłbyś również, gdybyś nie poszedł wtedy do przodu zobaczyć, co robi ten pieprzony meksykański oficer.

Niewątpliwie w głosie Gaspara pojawił się gniew, ale było w nim coś jeszcze. Major musiał mieć świadomość, że popełnił kardynalny błąd, nie uprzedzając Isena o istniejącym zagrożeniu, i cień tego uczucia dawał się wyraźnie odczuć w jego głosie. Isen był zbyt zdeguowany, żeby odpowiedzieć.

Gaspar chwycił Isena za ramię i odciągnął od grupy żołnierzy, zanim dokończył. – Te głupie sukinsyny nie chcą nas tutaj. Nie zrobiłoby im żadnej różnicy, gdyby cały nasz kraj przejechał się po kokainowej drodze prosto do samego piekła.

Major uświadomił sobie, że nieomal krzyczy i z całej siły ściska ramię Isena. – Chyba robię się nerwowy. To wszystko dlatego, że już niebawem zabieram się z tego gówna. – Wetknął kapelusz pod pachę i przeciągnął palcami przez włosy. – Nie angażuj się zbyt w całą tę sprawę. Tym facetom nie da się pomóc, ponieważ sami nie chcą, żebyśmy im pomogli.

Isen nie odpowiedział.

Słyszał, jak kilka metrów obok Cortiz wydaje instrukcje żołnierzom, którzy mieli pełnić obowiązki sanitariuszy i transportować rannych.

Po powrocie z nieudanej akcji, Isen i Gaspar oddzielili się od Meksykanów zaraz, jak tylko wysiedli z ciężarówek, które zabrały ich w drogę do bazy. Ponieważ major wyraźnie nie miał ochoty pozostać przy meksykańskim oddziale, a Isen nie miał pojęcia, gdzie znajduje się ich kwatera, musiał iść za Gasparem. Wspięli się na niewielkie wzniesienie, gdzie znajdowała się nieoświetlona dwuizbowa chata. Gaspar wskazał Isenowi pryczę w pierwszej, znajdującej się od frontu izbie, po czym zniknął w ciemności.

Przez godzinę, może dłużej, Isen leżał z otwartymi oczami, wpatrując się w sufit i usiłując rozluźnić nerwy, ciągle jeszcze napięte po zbrojnym starciu tej nocy. Instynkt mówił mu, że powinien zostać u stóp wzniesienia, tam gdzie najprawdopodobniej rozlokowali się meksykańscy żołnierze. Wiedział, że nie miałby tam nic konkretnego do zrobienia, jednak nauczył się już dawno temu, że w warunkach polowych oficer powinien znajdować się zawsze wśród swoich ludzi, szczególnie w środku nocy. Pozostawanie tutaj, kiedy żołnierze byli tuż po nieudanej akcji, było niewątpliwie błędem. Co mógł jednak zrobić?

Po ułożeniu w myślach listy istotnych spraw, do których powinien zabrać się z samego rana, zapadł powoli w sen kołysany odgłosami wiatru szemrzącego w rosnących dookoła chaty drzewach. Zasypiał myśląc o dwóch żołnierzach zabitych tej nocy. Nawet nie wiedział, jak wyglądali.

Obudziło go panie koguta.

To coś całkiem nowego, pomyślał.

Otworzył oczy i zobaczył, że pokój jest ciągle jeszcze pogrążony w mroku. Nad jego głową było okno, a ściana przy której leżał miała wschodnią wystawę. Dostrzegł prostokąt nieco jaśniejszego nieba jaki rama okienna wycinała w ciemności wnętrza. Usiadł na krawędzi wojskowego łóżka i spuścił nogi, rozglądając się dookoła. W izbie, oprócz pryczy, na której siedział, znajdował się polowy stół, jakiego zwykle używa Armia Stanów Zjednoczonych – składany, z drewnianym blatem o powierzchni około pół metra kwadratowego – oraz dwa składane, metalowe krzesła. Zamiast podłogi było klepisko. Światło wpadało przez

dwa nieosłonięte okna oraz przez drzwi, te ostatnie częściowo pokryte brezentową zasłoną.

– Niezupełnie jak w „Ritzu” – powiedział do siebie.

Założył buty na używane poprzedniego dnia skarpetki. Jego mundur był pokryty pyłem i wyschniętym błotem, jednak, ponieważ nie wiedział kiedy będzie miał okazję uprać swoje rzeczy, postanowił zachować zapasowe ubranie na inną okazję i włożyć go jeszcze raz.

Wygrzebał z plecaka mydło, ręcznik i szczoteczkę do zębów, wepchnął zwisający podkoszulek w spodnie i skierował się na zewnątrz w poszukiwaniu wody. Zatrzymał się jednak na progu, wrócił do środka i wyciągnął pistolet z kabury. Wyjął magazynek, zerknął do komory nabojoyej, po czym zatknął pistolet z tyłu za pasek spodni. Nigdy nie zachwycała go perspektywa pistoletu, nawet nienabitego, zatkniętego lufą w dół z przodu spodni.

Obszedł chatę dookoła. Miejsce, w którym spędził noc znajdowało się na wzniesieniu wyrastającym z zachodniego zbocza grzbietu wznoszącego się nad doliną. Słońce było jeszcze poniżej grzbietu i właśnie zaczynało wypełniać światłem leżącą pod nim dolinę. Nieco niżej na zboczu dostrzegł porozrzucane zabudowania, które najprawdopodobniej stanowiły bazę ich oddziału. Nie dostrzegł tam jednak nikogo. Dalej w dolinie, w odległości co najmniej kilometra, znajdowała się osada złożona z około sześćdziesięciu domów.

Isen znalazł miednicę i kilka napełnionych wodą wiader. Nalał wody do miednicy, zaczerpnął rękami i ochlapał sobie twarz oraz ramiona. Woda była zimna po nocy i, chociaż nie mogła zastąpić filiżanki dobrej kawy, była przyjemnie orzeźwiająca. Namydłając ręce spojrzął do tyłu przez ramię. Słońce wydobywało właśnie z ciemności następny rząd budynków w dolinie. Gdzie podzieli się meksykańscy żołnierze? – zastanawiał się.

Myjąc się, podświadomie zaczął nucić coś pod nosem.

Wewnątrz chaty Gaspar leżał rozbudzony w swoim łóżku. Wsluchiwał się w odgłosy porannej aktywności Isena i zastanawiał się, jak pójdzie przekazanie mu obowiązków doradcy wojskowego tego oddziału.

Poprzedniej nocy, kiedy meksykańscy żołnierze razem z Isenem zostali ostrzelani na skraju lądowiska, Gaspar znajdował się około siedemdziesięciu metrów z tyłu za ich pozycją. Został u podstawy niewielkiego wzniesienia, którym wspięli się Alazar i jego ludzie. Siedział oparty o pień drzewa, ściskając w rękach przepocony kapelusz. Po pewnym czasie usłyszał jak ktoś porusza się w pobliżu; były to raczej delikatne szmery dochodzące z ciemności niż wyraźne odgłosy stąpania, coś jakby nieco silniejsze drgnięcia powietrza. Był przekonany, że to jeden z meksykańskich żołnierzy, który został z tyłu za potrzebą, wraca teraz do oddziału. Gaspar znieruchomiał, gdy tylko odgłosy się przybliżyły.

Po chwili dostrzegł zarysy dwóch postaci, czarne niewyraźne sylwetki tylko odrobinę ciemniejsze od otaczającej go nocy. Gaspar nie widział nic więcej, ale nie miał wątpliwości, że nie byli to żołnierze z ich patrolu. Poruszali się zbyt cicho i ostrożnie.

Dwa cienie przemknęły w odległości około trzech metrów. Gaspar zamarł, starając się nawet uciszyć głośnie, jak mu się wydawało, bicie serca i tętnienie krwi w żyłach. Mógłby z powodzeniem wykorzystać efekt zaskoczenia i zastrzelić tych dwóch ludzi, gdyby miał w rękę odbezpieczoną broń. Jednak jego pistolet tkwił w kaburze. Żeby go wydostać, musiałby ją otworzyć, co na pewno spowodowałoby wyraźny dźwięk w otaczającej go nocnej ciszy. Był pewien, że obcy, ostrzeżeni takim sygnałem, zabiliby go znacznie szybciej, jeszcze zanim zdążyłby wydobyć i odbezpieczyć broń. Dlatego zdecydował się poczekać, aż przejdą trochę dalej, obserwując tymczasem uważnie stronę, z której się ukazali.

Gdy tylko go minęli, zaczął liczyć odgłosy oddalających się kroków. Pięć, sześć, siedem. Nie gubiąc dwóch sylwetek z zasięgu wzroku mógł jeszcze trochę poczekać, żeby dzieląca ich odległość zwiększyła się jeszcze. Przesunął powoli rękę w kierunku kabury i odpiął jej pokrywę. Jednak jego palce przesuwające się po twardym nylonowym pokryciu kabury wy-

dały wyraźny dźwięk w otaczającej go ciszy. Był pewien, że dwaj obcy go usłyszeli. W momencie największego napięcia nerwów nasza go niespodziewanie całkowicie nowa myśl – przecież nieomal jutro, prawie o wyciągnięcie ręki, będzie już poza tym wszystkim, daleko w bezpiecznym domu. W czasie, który stracił na rozważenie tej myśli, sylwetki dwóch mężczyzn rozplynęły się w ciemności i został sam, pogrążony w ciszę nocy. Został sam z okropnym poczuciem śmierci, która prześlizgnęła się tuż obok niego, uświadamiając sobie jednocześnie tragiczne następstwa tego, co zrobił – albo raczej czego nie zrobił.

Później, kiedy nocna strzelanina była już tylko przeszłością, starał się nie kierować wzroku w stronę dwóch ciemnych pokrowców, które kryły zwłoki zabitych żołnierzy. Podświadczenie czuł ich ciepłą krew zastygającą na jego rękach. Jego pełna wściekłości reakcja na zarzuty Isena była tylko próbą ukrycia tego, co naprawdę wiedział o zasadzce. Kiedy jednak teraz leżał bezpieczny w pełnym blasku dnia, nie był już pewien czy i w jaki sposób zdoła odzyskać szacunek dla samego siebie, szacunek, który utracił tej nocy.

– Dzień dobry – powiedział Isen, gdy tylko dostrzegł wylaniającego się z tyłu za chatą Gaspara. Kapitan był rozebrany do pasa i właśnie wycierał się energicznie ręcznikiem.

– Dzień dobry. – Gaspar starał się znaleźć na twarzy Isena ślady wczorajszego gniewu, jednak robiła ona wrażenie całkowicie rozluźnionej.

– Nie zauważyłem, żeby tam na dole kręcili się jacyś żołnierze – powiedział Isen. – Przypuszczam, że te budynki to baraki wojskowe lub coś w tym rodzaju. – Właśnie wycierał ręce ręcznikiem, dlatego ruchem głowy wskazał zabudowania znajdujące się niżej na stoku doliny. – Czy aby czegoś nie przegapiliśmy? To znaczy, czy oni przypadkiem gdzieś bez nas nie pojechali?

– Myślę, że większość z nich nawet tutaj nie nocowała – powiedział Gaspar. – Najprawdopodobniej zwiali do domów zaraz po przyjeździe.

Tampico było najbliższym miastem, ale znajdowało się co najmniej pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od obozu. Isen przyjął więc, że Gaspar ma na myśli osiedle widoczne niżej w dolinie. – Mają rodziny w tej wsi?

– Tylko nieliczni, raczej ci starsi – odpowiedział Gaspar, sprawdzając, ile wody pozostało w stojących przy nich wiadrach. – Chodzą do wsi, żeby coś zjeść, ale jest to również dobry pretekst, aby być jak najdalej od Alazara.

– Myślałem, żeby się przenieść tam w dół – powiedział Isen, zastanawiając się nad tym, co usłyszał od Gaspara. – Czy jest tam jakaś knajpa albo coś w tym guście?

– Jest tam kantyna wyposażona jakiś czas temu przez naszą Armię, pole ćwiczeń i tym podobne rzeczy. Jednak jak sięgam pamięcią, nikt tam nie ugotował niczego do jedzenia. Ja zazwyczaj schodzę do wsi późniejszym rankiem i tam coś jem.

Isen wyglądał na zdziwionego, dlatego Gaspar dodał: – Mógłbyś zejść tam na dół i poszukać Cortiza. Porucznik Cortiz to zastępca dowódcy tego oddziału. Powinien być gdzieś w barakach, ma tam swoją kwaterę. Dogonię cię za chwilę.

Isen wszedł do środka i włożył koszulę. Pas z kaburą schował wcześniej do plecaka, wyjął go więc teraz, zapiął na biodrach i przełożył pistolet do kabury. Zanim wyszedł, nasmarował nieosłoniętą skórę kremem ochronnym.

Na kawałku płaskiego terenu poniżej chaty, w której zamieszkał z Gasparem, znajdowało się pięć budynków. Zbudowano je z tandetnych cegieł i pokryto papą. Isen odnosił wrażenie, że zabudowania zostały zaprojektowane w miarę profesjonalnie, jednak nie wyglądało, żeby ktokolwiek przyłożył się do ich wykonania.

Jeden z budynków miał kształt wydłużonego prostokąta i wyglądał jak barak dla żołnierzy. Isen podszedł do wejścia i odsunął brezentową zasłonę zastępującą drzwi. Z tego miejsca mógł ogarnąć wzrokiem całe wnętrze. Wzdłuż bocznych ścian stały rzędem metalowe, składane pryzce, rozmieszczone w stylu typowym dla wszystkich koszar na całym świecie.

Na kilku pryczach leżały lepiące się od brudu materace. Podłoga z gołego betonu była zawalona sprzętem wojskowym, stertami starych gazet i magazynów pornograficznych. W promieniach porannego słońca, zagląającego do wnętrza przez wschodnie okna, tańczyły wokół drobinki kurzu.

Isenowi zdawało się, że widzi śpiącą postać na pryczy, znajdującej się w przeciwnym rogu baraku. Wszedł więc do środka i zaczął się przedzierać pomiędzy nierówno rozmieszczonymi rzędami prycz. Rzeczywiście, jakiś mężczyzna spał na jednej z pokrytych materacami prycz, jednak nie był to żołnierz. Wyglądał na około siedemdziesiąt lat i był otulony brudnym kocem, który chyba kiedyś był czerwonego koloru. Mężczyzna obudził się, zanim Isen do niego podszedł i uśmiechnął się odsłaniając samotny ząb.

Dlaczego zawsze muszę dostawać śpiących przewodników, zapytał się ducha Isen.

Nie pamiętał, jak jest porucznik po hiszpańsku, dlatego powiedział tylko: – Cortiz?

Nie siląc się nawet na odpowiedź stary człowiek odwrócił się do niego tyłem. W tym momencie Isen dostrzegł broń. Poędzy pryczą, na której leżał stary a ścianą baraku leżało co najmniej trzydzieści M-16 zwalonych jeden na drugi. Długi łańcuch, nie grubszy od tych używanych przez dzieci do zabezpieczania swoich rowerów, przeciągnięto przez osłony języków spustowych, a jego końce były przypięte na kłódkę do metalowej nogi pryczy. Niektóre karabiny miały założone magazynki, co sugerowało, że po akcji nie zostały nawet rozładowane. Broń była w okropnym stanie.

Isen był oszołomiony. Wyglądało, że Meksykanie po prostu zwalili na podłogę całą broń, kiedy tylko dotarli do baraku. Miał w pamięci obraz jego własnego oddziału stacjonującego w koszarach Schofield na Hawajach, żołnierzy siedzących na werandach drewnianych baraków, oświetlonych ostrym słońcem tropiku, starannie czyszczących broń po powrocie z ćwiczeń polowych. Nawet po pięciu dniach spędzonych na gorącym i wysuszonym na pieprz poligonie Kahuku nikt nie miał prawa się wykapać, zanim jego broń nie została poprawnie wyczyszczona i poddana regulaminowej inspekcji przez oficerów jednostki.

– Kapitan Isen?

Isen odwrócił się raptownie. Nie słyszał, jak Cortiz wchodził do baraku.

– Właśnie zamierzałem się za panem rozejrzeć – powiedział Isen, po raz pierwszy przyglądając się porucznikowi w świetle dnia. Cortiz był znacznie młodszy niż wydawało mu się wczorajszej nocy – pewnie nie miał więcej niż dwadzieścia dwa lata. Był o dobre dziesięć centymetrów niższy od Isena i, jak na swój wiek, nieco zbyt obszerny w pasie. Miał małe, przyszytych wąsiki i delikatną twarz, która upodabniała go nieco do urzędnika bankowego czy nauczyciela. Jednak jego ostre, ciemne oczy wyraźnie nie pasowały do tego obrazu. Cortiz miał czyste wyglansowane buty i świeżo uprany oraz wyprasowany mundur. Patrząc na niego Isen poczuł się bardzo brudny.

Isen postanowił przejść od razu do rzeczy. – Czy zawsze składujecie broń w ten sposób?

– Aa, broń. – Cortiz założył ręce do tyłu, podniósł się na palcach, po czym opadł na pięty. Powtórzył ten ruch kilka razy. – Tak, no więc... Wydaje mi się, że powinienem zawrócić tu moich ludzi i kazać im to wyczyścić.

Isenowi wydawało się, że Cortiz zaczyna powoli ogarniać istniejący problem i myśleć o jego rozwiązaniu.

– Być może, dzisiaj – dodał Cortiz.

Być może! – powtórzył w myślach Isen.

– Gdzie są żołnierze? – zapytał Isen, próbując nadać swojemu głosowi normalne brzmienie.

– Większość poszła spać do wsi – zaczął Cortiz. – Nie mają tu zbyt wygodnie. – Wyciągnął zza pleców rękę, żeby wskazać brudne wnętrze baraku.

– Rozumiem – powiedział Isen. Rozejrzał się dookoła z nadzieją, że ujrzy Gaspara. Byłoby znacznie łatwiej uzyskać potrzebne wyjaśnienia od drugiego Amerykanina, jednak Gaspar się jeszcze nie pojawił. Isen pomyślał, że byłoby chyba najprościej usiąść z porucznikiem Cortiz przy kawie i rozważyć sytuację, w jakiej znajdował się jego oddział.

– Czy macie tu kantynę?

Cortiz zmarszczył brwi tak, że Isen pomyślał, że porucznik nie rozumie tego słowa.

– Mam na myśli stołówkę. Miejsce, gdzie się je posiłki.

– Proszę pójść ze mną – powiedział Cortiz, przepuszczając Isena przodem.

Wyszli przez drzwi, znajdujące się po przeciwnej stronie do tych, przez które Isen wszedł do baraku, i przeszli po wąskiej ścieżce do następnego budynku. Ten barak miał oszklone drzwi, jednak w dolnej części szkło było pęknięte. Cortiz otworzył drzwi zdecydowanym ruchem.

– To jest nasza kantyna.

Pomieszczenie było duże, ale puste. Nie było tu ani stołów, ani krzeseł, ani śladu kuchni czy wyposażenia do przygotowywania posiłków. W kącie po drugiej stronie Isen zobaczył stertę czegoś, co wyglądało na wojskowe pojemniki na gotowe posiłki, pojemniki jakich standardowo używa Armia Stanów Zjednoczonych w trakcie działań polowych. Isen nie wiedział, co powiedzieć, więc po prostu przeszedł przez pomieszczenie i zatrzymał się przy stercie dobrze znanych pojemników. Ze zdziwieniem zauważył, że były nietknięte.

– Konserwowana żywność nie jest tutaj dobra. Żołnierze nie lubią tych posiłków, ponieważ ich przygotowanie wymaga zbyt dużo wody – wyjaśnił Cortiz. Znów zaczął wykonywać nerwowe ruchy, kiwając się na piętach – do góry, nieco naprzód i do tyłu. Najwyraźniej ani on ani Isen nie mieli ochoty wypowiedzieć się głośno na oczywiste w tej sytuacji pytanie: Gdzie znajduje się kantyna tego oddziału?

Niezręczne milczenie trwało nie dłużej niż kilkanaście sekund, jednak Isenowi wydawało się, że upływają minuty. Krępującą sytuację przerwał wejście Gaspara.

– Widzę, że znalazłeś już naszą czterogwiazdkową restaurację – zauważył.

Cortiz cofnął się nieznacznie.

– Sądziłem, że tutejsze jednostki dostały od Wuja Sama kompletne wyposażenie zaplecza jako część wsparcia operacji Wartownik – powiedział Isen.

Cortiz wpatrywał się w podłogę, zażenowany i milczący, tak, że Isen domyślił się, że coś jest nie w porządku. Jedno spojrzenie na Gaspara potwierdziło jego przypuszczenia. Major patrzył to na Cortiza, to na Isena z twarzą wykrzywioną czymś, co można było opisać tylko jako głupkowaty uśmieszek. W tej chwili przypominał Isenowi rozkapryszone i okrutne dziecko cieszące się wyrządzoną komuś krzywdą.

– Tak, wszystko pojawiło się tutaj na czas – powiedział w końcu Gaspar, robiąc teatralny obrót, jak gdyby chciał podkreślić pustkę panującą w pomieszczeniu. Zatrzymał się tuż przez Cortizem. – A następnie rozplynęło w ciągu jednej tylko nocy. Kuchenki, garnki, cała zastawa, wszystkie przybory; nawet pieprzone rękawice kuchenne zniknęły bez śladu. Nie mam racji, poruczniku?

Isen musiałby być zupełnie ślepy i głuchy, żeby nie wychwycić znaczenia tego, co powiedział Gaspar. Nie mógł jednak nic zrobić, aby stanąć w obronie Cortiza. Młody porucznik nie odpowiedział.

Gasparowi szybko znudziło się kontynuowanie tego przedstawienia. Opuścił ręce i schował je do kieszeni spodni, po czym dodał normalnym tonem: – Tak czy owak, całe wojsko chodzi jeść do wsi. A nasz pan major jada... Gdzie jada nasz pan major, *señor* Cortiz?

– Major Alazar został wezwany do Tampico – powiedział Cortiz.

– Aa, tak – mruknął Gaspar. Odwrócił się do Isena i uśmiechnął sztucznie.

– Wybaczcie mi, panowie – powiedział oficjalnie Cortiz, prostując się na całą wysokość. Isen nie zdziwiłby się, gdyby porucznik stuknął obcasami. Cortiz odwrócił się na pięcie i wyszedł z kantyny, pozostawiając dwóch Amerykanów wpatrujących się w zakurzone pojemniki z żywnością.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytał Isen.

– Cortiz płaszczy się przed Alazarem – powiedział Gaspar. – A Alazar po prostu ukradł cały ten szajs i sprzedaje go gdzieś w kraju.

– Jak się dowiedziałeś?

– Nie żartuj. Żołnierze powiedzieli mi o wszystkim. Alazar kazał im nawet ładować wyposażenie na prywatną ciężarówkę, która zwoziła potem cały kram na dół. Wszyscy wiedzą, że Alazar to złodziej, tylko Cortiz nie chce tego potwierdzić.

– Czy zgłosiłeś to? – zapytał Isen.

Gaspar gwizdnął przez zęby. – Nie. To normalne tutaj. Każdy wie, że i tak wszystko będzie rozkradzione. Nawet prosi żołnierze, którzy teraz nie mają gdzie jeść, podchodzą do tego ze stoickim spokojem. Myślę, że zrobiliby dokładnie to samo, gdyby tylko mieli okazję. Przynajmniej są szczerzy. Wszyscy, z wyjątkiem tego pieprzonego Cortiza.

Isen wyglądał przez pozbawione szyby okno, obserwując Cortiza, który, po wyjściu z kantyny, zatrzymał się na wzniesieniu i patrzył na leżącą w dolinie osadę.

– Czy on jest również w to zamieszany?

– Nie. To idealista – odparł Gaspar.

– Nie rozumiem – powiedział Isen. – Mieszasz go z błotem tylko dlatego, że jest uczciwy?

– Nie. On po prostu nie chce przyjąć do wiadomości faktu, że wszyscy wokół są ubabrani.

Isen patrzył w milczeniu na Gaspara. Zastanawiał się, gdzie major podziewał się zeszłej nocy, kiedy w zasadzce walili do nich z broni maszynowej. Zastanawiał się, jak bardzo ubabrany jest Gaspar.

– No więc, gdzie mógłbym dostać coś do zjedzenia? – zapytał w końcu.

Gaspar zaprowadził Isena do kantyny znajdującej się we wsi, gdzie podano mu smażone jajka z tortillą i fasolą. Kiedy jedzenie pojawiło się przed nim na stole, kapitan uzmysłowił sobie, że nie jadł od czasu, kiedy wsiadł do herculesa lecącego do Meksyku. To było dopiero wczoraj? – pomyślał z niedowierzaniem. Kilku młodych ludzi, którzy w międzyczasie przewinęli się przez cantina, mogło być żołnierzami z ich oddziału, jednak, ponieważ nie nosili mundurów ani nie mieli podstrzyżonych po wojskowemu włosów, trudno było mieć pewność. Isen pił właśnie czarną kawę po skończonym posiłku, kiedy Cortiz wszedł do kafeterii i zbliżył się do niego.

– Czy mogę się przysiąść, panie kapitanie? – zapytał oficjalnie.

– Proszę bardzo. – Isen odsunął nogą krzesło stojące z drugiej strony stołu.

Cortiz usiadł, podciągając nogawki spodni, aby nie pognieść świeżo zaprasowanych kantów. Isen nie bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę, ale Cortiz odezwał się pierwszy.

– W jaki sposób dostał pan przydział do nas?

– Zgłosiłem się na ochotnika – odpowiedział Isen. To tylko połowa prawdy, dodał w myślach. – Prawdę mówiąc, miałem do wyboru dwa przydziały, więc wybrałem ten.

– Jaki był ten drugi przydział? – zapytał chłodno Cortiz.

Isen zastanawiał się, czy ton głosu porucznika odzwierciedla ukrytą niechęć, czy też wynika po prostu z braku wprawy w konwersacji po angielsku.

– Proponowano mi pracę w Pentagonie. Jednak praca za biurkiem nigdy nie była moim marzeniem, dlatego zdecydowałem się wziąć przydział do was. Ponadto uważam, że walka z narkotykami jest ważniejsza od podawania kawy panom generałom.

– Nie przeszkadza panu fakt, że musiał pan zostawić rodzinę? – zapytał Cortiz.

Isen pomyślał o Adriannie. Była jego żoną od ośmiu lat. Kilka dni wcześniej, podczas kolacji mieli przykrą wymianę zdań na temat jego dalszego pozostawiania w służbie. W końcu zjedli tę uroczystą kolację w kamiennym milczeniu.

Częste oddalenie od rodziny było dla niego częścią ceny, jaką płacił za służbę w Armii. Jego ojciec, który był zawodowym podoficerem, też wiele razy opuszczał dom na dłuższy czas, wliczając dwie tury w Wietnamie i regularne miesięczne wyjazdy na ćwiczenia. Ojciec i jego koledzy z jednostki zawsze narzekali głośno na związane z tym niedogodności, jednak świetnie rozumieli potrzeby i wymagania służby.

– Przeszkadza, ale mam spędzić tutaj tylko sześć miesięcy. Maksimum rok. W Waszyngtonie musiałbym pracować dwanaście godzin dziennie i tracić co najmniej dwie godziny na dojazdy, nie licząc kilkudziesięciu wyjazdów służbowych rocznie. Moja służba w Pentagonie miałaby trwać cztery lata. Przydział tutaj uważam za ważniejszy w perspektywie kariery zawodowej. Ponadto, znam się na tej robocie.

Nie zabrzmiało to zbyt przejrzyście, pomyślał Isen. Jeśli nawet Cortiz uznał, że argumenty Isena brzmią odrobinę egoistycznie, nie dał tego po sobie poznać.

– Czy wiedział pan, że pański pobyt tutaj nie będzie się podobał bardzo wielu ludziom?

Isen był zaskoczony szczerością pytania. – Chyba tak – odpowiedział. – Wiem, co myśli wielu waszych polityków. Uważają, że chcemy użyć armii meksykańskiej do wygrania własnej wojny.

– Jest znacznie gorzej, kapitanie Isen – odpowiedział szorstko Cortiz.

– Co ma pan na myśli? – zapytał Isen.

Cortiz podniósł rękę i kiwnięciem dał znak gospodarzowi, że chcą więcej kawy.

– Szczerze, kapitanie?

– Nie będziemy chyba zaczynać naszej znajomości od fałszywej nuty – powiedział Isen, mając nadzieję, że nie będzie tego żałował.

– Wiemy, że wasz Kongres zamierza użyć wojska jako szybkiego i prostego sposobu na rozwiązanie problemu narkotykowego. Macie potężną i niezwyciężoną Armię, ale ludzie tutaj mówią: „Patrzcie, to zdarzyło się już wcześniej w Panamie i Iraku. Dlaczego nie mieliby tego powtórzyć, żeby odciąć płynącą do nich rzekę kokainy?”.

Cortiz zetknął dłonie czubkami palców przed swoją twarzą. – Jednak ten problem nie jest tak prosty, jak wasze poprzednie operacje. Znacznie łatwiej jest przysłać tutaj waszą wspanią amerykańską Armię, niż oduczyć Amerykanów brać narkotyki.

Isen poruszył się niecierpliwie na swoim krześle. Jego pierwszą reakcją na słowa porucznika był sprzeciw – chyba powinien czuć się obrażony. Jednak po chwili uzmysłowił sobie, że chociaż Cortiz zbyt uogólniał niesłuchanie złożony problem, jednak w zasadzie miał rację.

– Jest mi niezmiernie przykro, kapitanie Isen – powiedział Cortiz z uśmiechem. – Nie zamierzałem nikogo obrazić. Zdaję sobie sprawę, że to, co mówiłem, nie jest całkowitą i obiektywną prawdą, jednak z mojego punktu widzenia, niestety, jest. Jak w każdym złożonym i pogmatwanym problemie, mamy wiele, często sprzecznych ze sobą prawd. Jedną z nich jest niewątpliwie fakt, że mój kraj potrzebuje ekonomicznego wsparcia i realnej pomocy, którą Stany Zjednoczone zaoferowały w ramach tej wspólnej operacji. Nasi obywatele nie mogą w nieskończoność żyć w skrajnej nędzy. – Porucznik pochylił się nad stołem w kierunku Isena. Wydawało się, że za chwilę wstanie. – Muszę jednak dodać, że nie podobą mi się to, iż sprzedajemy się w ten sposób Amerykanom.

Stary człowiek, który musiał być gospodarzem kantyny, postawił przed nimi na stole następne dwie gorące kawy. Wydawało się, że oskarżenie rzucone przez Cortiza zastygło w parze wydobywającej się ze szklanych kubków. Isen czuł dziwne burczenie w brzuchu, jakim jego żołądek reagował na obcy dla niego sposób parzenia kawy, jednak przyjął kubek, który podsunął mu Cortiz.

– No więc, w jaki sposób mamy ułożyć naszą... współpracę? Pomiędzy majorem, panem i mną?

– Myślę, że ma pan, kapitanie, znacznie lepszą pozycję wyjściową niż miał major Gaspar. On nie był w stanie pogodzić się z faktem, że was tutaj nie lubimy. Nie był w stanie z nami pracować, ponieważ myślał, że współpraca wymaga pełnej wzajemnej akceptacji, co nie mogło mieć miejsca, chociaż musieliśmy oczywiście zaakceptować jego obecność. W tym względzie pan wydaje się znacznie bardziej pragmatyczny.

Gaspar obawiał się głównie o własne życie, obawiał się, że zostanie zabity wskutek totalnej ignorancji Meksykanów, pomyślał Isen. Ciekawe, czy miał rację.

– Osobiście nie mam nic przeciwko panu, kapitanie Isen – ciągnął Cortiz, popijając małymi łykami kawę. – Po prostu nie jestem zadowolony z waszej obecności w tym kraju, to wszystko. Wiem jednak, że jest pan świetnie wyszkolony w typie działań, które musimy razem prowadzić. Dlatego chciałbym, pomimo niechęci, o której wspomniałem, nauczyć się od pana ile tylko będzie możliwe.

Isen poruszył się niecierpliwie. Nikt w Fort Benning nie naświetlił mu problemu tak, jak to zrobił porucznik Cortiz. Nie przygotowano go do kierowania delikatnymi sprawami na pograniczu psychologii i polityki, które, jak ze zdumieniem teraz konstatował, musiały być również nierozdzielnie związane z obowiązkami doradcy wojskowego.

Armia nie prowadziła rutynowych szkoleń oficerów na doradców wojskowych. Nawet Siły Specjalne, które zajmowały się szkoleniem oddziałów partyzanckich, nie posuwały się dalej poza przypominanie o konieczności okazywania szacunku dla dowódców tych jednostek. Podświadomie Isen został ustawiony w pozycji reprezentanta polityki kształtowanej przez koła rządowe Meksyku, polityki, która jednak – delikatnie mówiąc – nie cieszyła się poparciem w społeczeństwie i w wojsku. Gaspar najwyraźniej źle wykonał swoje zadanie. Isen nie zamierzał się poddać tak łatwo.

– No więc, od czego byśmy zaczęli? – zapytał Isen.

– Powinniśmy opracować program szkoleniowy, który byłby w stanie objąć cały zakres zadań bojowych, jakie możemy wykonywać w trakcie operacji – powiedział Cortiz.

– To wiemy – odpowiedział Isen. – Mnie chodzi o moją rolę. Jeśli mam być tutaj przydatny jako doradca, byłoby wskazane, żeby przynajmniej starał się pan, poruczniku, słuchać moich rad.

Cortiz przymrużył nieznacznie oczy.

– Ja ze swej strony zrozumiem – kontynuował Isen – że nie będzie pan akceptował wszystkiego z tego, co powiem.

– Zgoda.

W końcu, nawet ta misja musiała zacząć się od jakiegoś pierwszego kroku.

– Może zaczęlibyśmy – powiedział Cortiz – od wyczyszczenia tamtej broni?

2

Nad rzeką Rio Soto La Marina, Meksyk, 12 marca

Obserwując żołnierzy ćwiczących atak na umocniony bunkier, Isen przywołał w pamięci obraz drużyny siatkówki, w której grał w Fort Leavenworth. Żołnierze grali w tej drużynie

wyłącznie dla przyjemności, dostosowując styl i sposób gry do hasła drukowanego na koszulkach klubu: ZACZYNAJ POWOLI, ZWOLNIJ POD KONIEC.

Stojący poniżej Isena meksykański podoficer wrzeszczał na żołnierzy, żeby ruszali się szybciej, wymachując przy tym zapamiętane rękami. Sądząc po reakcji żołnierzy, sierżant mógł równie dobrze znajdować się na przeciwległym krańcu kuli ziemskiej. Isen westchnął. Widziałem już umrzyków ruszających się żwawiej, pomyślał. Spojrzał w górę na palące słońce, zastanawiając się, jak gorąco musi tu być w środku lata.

– Nie bardzo się to panu podoba, kapitanie Isen? – usłyszał za plecami głos Cortiza.

Isen był już w Meksyku od trzech tygodni, i od trzech tygodni usiłował użyć każdego przychodzącego mu do głowy fortelu, żeby zachęcić żołnierzy do ćwiczeń wojskowych. Jak dotąd bez wyraźnego sukcesu. Właśnie doszedł do wniosku, że już najwyższy czas przestać owijać w bawełnę zupełnie oczywistą prawdę.

– Widziałem już szybciej ruszających się ludzi – przyznał.

– Wiem, że nie jest pan zadowolony ze sprawności żołnierzy – powiedział Cortiz. – Są z poboru...

– Tak, tak, to wszystko wiem – wpadł mu w słowo Isen. – Uważam jednak, że problem leży gdzie indziej. – Obserwował uważnie Cortiza, sprawdzając, w jaki sposób porucznik reaguje na bezpośrednią krytykę. Cortiz stał w milczeniu z twarzą bez wyrazu.

– Jednym z głównych problemów jest fakt, że program ćwiczeń jest potwornie nudny – powiedział Isen. – Ten program nie ma w sobie nic ze śmiałości, nie wywołuje kreatywnych zachowań.

Cortiz pochylił się i założył ręce na plecy.

– Mamy podobne problemy z naszymi żołnierzami – kontynuował Isen. – Łatwo nudzi im się normalny program ćwiczeń, dlatego staramy się iść na całość i upodobniamy zajęcia na poligonie do prawdziwych działań bojowych.

Cortiz przeniósł wzrok na przeciwległy stok, na którym następna czwórka żołnierzy z ćwiczebnymi granatami w rękach niemrawo kontynuowała podejście w kierunku bunkra. Spojrzał na Isena. – Czy wasi żołnierze reagują na to? – zapytał.

– Jest to jedyny typ ćwiczeń, na który reagują. Żołnierze lubią takie zadania. Nie zgłosili się do Armii, żeby się w niej zanudzić. Lubią pokazać swoje zdolności i muszą mieć ku temu okazję.

Isen pamiętał, jak zabierał swój oddział na wyczerpujące marsze terenowe zaraz po powrocie z ćwiczeń na poligonie, kiedy inne kompanie odpoczywały. – Ponadto, taki typ ćwiczeń daje im prawo do przechwałki.

– Co to jest „prawo do przechwałki”? – zapytał Cortiz.

– No, wie pan, poruczniku. „Nasza kompania jest lepsza, ponieważ my pracujemy ciężiej. My zostajemy na noc w terenie, wy śpicie pod namiotami; my idziemy na piechotę, was wożą”, takie rzeczy.

– Nie sędzę, żeby moi ludzie byli w stanie zareagować w ten sam sposób. Brakuje im motywacji – powiedział Cortiz. Był teraz formalnym dowódcą oddziału po tym, jak odwołano majora po porażce odniesionej w zasadzce przy lądowisku przemytników.

– Możemy spróbować zmienić program szkolenia tak, żeby był bardziej zajmujący, ustalić pewien system nagradzania. Może współzawodnictwo pomiędzy drużynami? Możemy też do pewnego stopnia używać ostrej amunicji podczas ćwiczeń.

Cortiz zakotyssał się na palcach nóg. Zrobił to jednak tylko raz, potem znieruchomiał. – Chciałbym powiedzieć, że prawdopodobnie nigdy nie będą mieli okazji użyć w walce ostrej amunicji.

Teraz z kolei Isen wytrzeszczył na niego oczy. – A co z naszą operacją zwalczania gangów narkotykowych?